

Wojciech Kass: Zielony kangur nie zna trwogi, moczmy nogi, moczmy nogi

Fenomen Gałczyńskiego, jego rozmaite wcielenia i przemiany, odsłony i zasłony, jego ucieczki i powroty, znikania i pojawiania się przerastały córkę (a kogo zresztą nie przerosły; Czesław Miłosz napisał, że najtrudniejszym przedmiotem wykładu o polskiej poezji XX wieku byłby Gałczyński, jako istota wyjątkowo tajemnicza) – pisze Wojciech Kass w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Gałczyński. Kwadrans dla ponurych”.

Siła pióra wielkich poetów (do pisania trzeba mieć silne ręce) polega również na tym, że „liryczną sytuację”, czy też „liryczną okoliczność” potrafią oni przekuć w mit. Z całą pewnością zdolność tę posiadał Gałczyński, dlatego też w jego wierszach odnajdujemy wyraźnie wyrytą ikonę miłości Zielonego Konstantego i Srebrnej Natalii. Kto wie, czy jak dotąd nie był to jeden z najsilniejszych, dwudziestowiecznych mitów literackich dotyczący lirycznego związku męża poety i oddanej mu, będącej w służbie jego sławy, żony. Zastanawiam się, czemu i komu taki stan zawdzięczamy? U podstaw mitu założycielskiego tego związku tkwią słowa, które poeta wypowiedział do Natalii podczas ich drugiego spotkania, kiedy podarował jej wiersz *Portret Panny Noel* i oświadczył, że przez całe życie będzie pisał dla niej jeden długi, miłosny wiersz. Zakochana studentka romanistyki chętnie te słowa podawała dalej, a pałeczkę po niej przejęła ich córka, Kira Gałczyńska, mająca zarazem skłonność do uwznioślenia życia ojca, jak i szkolnego upraszczania litery jego poetyckiego kosmosu, pozornie tylko obracającego się bez

żadnych turbulencji, galaktycznych wybuchów i zawiei, zwalisk ciał niebieskich i apokaliptycznych trajektorii meteorytów. Kira Gałczyńska zrobiła dużo dla pamięci o jej ojcu, to zadanie przejęła po matce, o której zresztą napisała dobrze skrojoną biografię *Srebrna Natalia*. Była jedną z tych osób, zaraz obok Zygmunta Filipowicza, muzealnika z Suwałk, które położyły kamień węgielny przyszłego muzeum. Zebrała, uporządkowała i spisała wiedzę dotyczącą prańskiego okresu w życiu i twórczości ojca, korzystając przy tym, czego pominąć mi nie wolno, z monografii Andrzeja Drawicza *Gałczyński na Mazurach*, ogłoszonej w 1971 roku w olsztyńskim wydawnictwie „Pojezierze”. Kilkakrotnie zmierzyła się z opisem życia i fenomenu poetyckiego autora *Zaczarowanej drożki*, odpowiednio dozując, zależnie od koniunktury społeczno-politycznej, wiedzę o nim. Wielokrotnie występowała w obronie poety i człowieka, jakby twórca tego formatu, potrzebował jakiegokolwiek obrony czy wstawiennictwa, choćby wynikała ona z najszlachetniejszych intencji. Niestety świadectwa tych wystąpień są wyraźnie emocjonalne, niepozbawione przy tym pretensjonalności, paternalizmu, nieuzasadnionej złości i wyższości, a także uwag obraźliwych. Wydaje się, że córka przez całe życie tworzyła figurę ojca, którego właściwie nie знаła, a jego ojcostwa doświadczyła zaledwie przez siedem krótkich powojennych lat. Przedstawiała tę figurę jednostronnie, co wynikało nie tyle z przemyślenia złożonego życia poety oraz wielopiętrowej i wielowątkowej osobowości, ile z tęsknoty za prawdziwym ojcem, którego los jej poskąpił. Ta figura była aż nazbyt retoryczna, wyidealizowana i w jakimś sensie wyreżyserowana. Była sublimacją tęsknoty za ojcowską troską, której idearium opiera się na pobłażliwości i rozumieniu, czułości i przyjaźni. Fenomen Gałczyńskiego, jego rozmaite wcielenia i przemiany, odsłony i zasłony, jego ucieczki i powroty, znikania i pojawiania się przerastały córkę (a kogo zresztą nie przerosły; Czesław Miłosz napisał, że najtrudniejszym przedmiotem wykładu o polskiej poezji XX wieku byłoby Gałczyński, jako istota wyjątkowo tajemnicza) i dlatego poeta stał się w jej

działaniach na rzecz pomnika Rzeczypospolitej Gałczyńskiej
rodzajem pałuby – co prawda bliskiej sercu, kapliczki – odstraszającej
złe duchy i totemu odnawiającego relacje ojca i córki, poety i jego małej
księżniczki.

Wracając do słów zakochanego Gałczyńskiego skierowanych do panny
Natalii, wiemy, że ich nie dotrzymał. Podczas, gdy on sprzeniewierzył
się małżeńskiej wierności i obietnicy „jednego długiego miłosnego
wiersza”, Natalia sprzeniewierzyła się – usuwając z wierszy dedykację
dla innych kobiet – literackiej prawdzie. Wczytując się w utwory
kierowane do narzeczonej, a później żony oraz matki Kiry, jak również
w wiersze, które po wojnie Gałczyński kierował do swoich kochanek,
które obdarowywał szczodrymi komplementami, a serca namaszczał
matrymonialnymi obietnicami, widzimy, że ich erotyczność jest
oderotyczniona, zmysłowość zatarta, a kobieca indywidualność
uogólniona do zjawiska zwiewnej i eterycznej żeńskości, kosmicznego
pierwiastka, który to przypadkiem wciela się w wabia kobiecej
cielesności, ni to alegorię, ni to zwiewną figurę retoryczną, ni to ciało,
ni to bezcielesny czar. Liryczna erotyka ustępowała pod naporem
poetyki amora. Może więc nietrudno było poecie dedykować swoim
kochankom wiersze wczuwając się w ideał kobiecości, a Natalii usuwać
te zapisy, jako że mogły równie dobrze być skierowane do niej.

A jednak, pamiętamy, że Natalia wiele wycierpiała, jej związek z poetą
był miłosny, a jednocześnie naznaczony ranami. Jedne z nich miały
zdolność szybkiego zablizniania się, inne zaś nie. Zaczęło się w
Berlinie, Gałczyński kiedy pił, był zazdrośnikiem, a gdy obierał
meandryczny kurs statku pijanego, nie oglądał się na Natalię i teściową
Wierę, później Kirę i innych. W dodatku zaraz po wojnie popadł w
wielkie pijaństwo (sześć lat niewoli, nie licząc wyjątków, epizodów, było

okresem prohibicji i abstynencji), co poskutkowało czymś w rodzaju amoku, w jaki popadł, szaleństwa, na progu którego się znalazł. Poruszał się po Niemczech, Francji, Belgii i Holandii powodowany siłami odpowiedzialnymi nie tyle za opamiętanie, co opętanie, które trzymało poetę jeszcze po zejściu w porcie w Gdyni z pokładu statku „Ragne”, kiedy nie spieszo mu było do Krakowa, gdzie oczekiwała rodzina wraz z pierwszą (jak okazało się) żoną, tą ze ślubu w obrządku prawosławnym. Zanim dotarł do grodu nad Wisłą owa siła splotu amoku – amora – amfory bachicznej nakazała mu oblecieć rozmaite kąty Trójmiasta, a następnie pobratać się z konfraternią literacką w Łodzi, gdzie spotkał się również z sąsiadem z przedwojennego Anina Jerzym Zarubą, satyrykiem rysownikiem, karykaturzystą i autorem słynnego portretu Gałczyńskiego przedstawionego na nim jako gwiazdna konstelacja pośród kolorowych mgławic drogi mlecznej. W Łodzi znajdował się drugi po Krakowie Dom Literatów, przyciągający twórców z różnych stron kraju i Europy, pośród których rozrzuciła ich ludobójcza wojna.

Obiecał więc nasz poeta małżeństwo Neli Micińskiej i jednocześnie Marii Stobnieckiej, a w rezultacie 26 kwietnia 1945 roku w Blombergu zawarł katolicki ślub z Lucyną Wolanowską (rozwiązany w 1951 roku, zaocznie), którą zwodził obietnicą wspólnego wraz z ich synem Konstantym Gałczyńskim, urodzonym 22 stycznia 1946, powrotu do Polski. Ostatecznie w krakowskim mieszkaniu zjawił się w towarzystwie Stobnieckiej. Natomiast pozostawiona w Niemczech Lucyna (wtedy wciąż Gałczyńska) wyemigrowała z synem w 1949 roku do Australii. W okresie od kapitulacji Niemiec do marca 1946 roku rozchwierutał swoje życie kompletnie, rozbujał je poza granicę zdrowego rozsądku, gdzie panowała zamieć upojenia i zachłyśnięcia nihilistyczną i anarchistyczną wolnością, podszytą niepokojem i niepewnością – wracać do kraju, czy zostać. Jerzy Waldorff był przyjacielem rodziny

przynajmniej do czasu, kiedy opublikował liczące ponad pięćdziesiąt stron wspomnienie o Gałczyńskim *Czarne owce dla Apolla*. Wówczas, już po śmierci matki Kira Gałczyńska postanowiła skreślić go z listy powierników, którym niechybnie był dla Natalii. Do niego to zwróciła się o pomoc, gdy mąż bigamista pojawił się w drzwiach krakowskiego mieszkania z Marią Stobniecką. Waldorff w swoim wspomnieniu wyznaje: „Konstanty w ciemnym korytarzu chodził tam i z powrotem z rękoma w kieszeniach jakoś tak, jakby to wszystko jego nie dotyczyło. Ale skoro podszedłem, to założyłem ręce i powiedziałem: – Zmiłuj się. Coś ty najlepszego zrobił?! – stanął, spojrzął na mnie i raptem wybuchnął swoim ogromnym śmiechem. W tym śmiechu zaś, to było najbardziej zdumiewające, brzmiała nuta triumfu. Potem się zjawili Zagórscy i Maryna, gotowa nadstawiać czoła wszelkim nieprawdopodobieństwom świata, zaaranżowała nawet coś w rodzaju wspólnej, wczesnej kolacji, do której po obu stronach Kota siadły Natalia i ta ze świata przywieziona Maria”. Okoliczność jakby wyjęta ze sztuk Witkiewicza lub Gombrowicza. To w ich dziełach polska literatura opuszcza ostatecznie arkadyjski ogród, a znajdujący się poza nim poeci i pisarze pozostają outsiderami, których poczucie istnienia wypełnia rozpacz. Lekarstwem na nią jest język, a właściwie gwałt na języku, wyłaniające się spoza niego dziwne miny, zniekształcające twarz grymasy, pochrząkiwania i zdeprawowane gesty ludzkich potworów przybranych w stroje groteski, burleski, czarnego humoru, sarkazmu, satyry. A wszystkiemu winna rozpacz! Witkiewicz wyprowadza dramat z metafizycznego ogrodu, w którym ścierają się siły dobra i zła, Gombrowicz i Wat wyciągają z niego prozę, Gałczyński poezję, a i prozę biorąc pod uwagę *Porfiriona Osiełka. Cmentarz biurokratów*.

Wracając do opisanych przez Waldorffa okoliczności powrotu Gałczyńskiego z wojennej tułaczki to jest to dla poety sytuacja katastrofalnego triumfu, dla rodziny – tragedii, którą czym prędzej

należałoby rozwiązać, a to rozwiązanie przyklepać i uładzić. Echem tego triumfu jest pręźnie podany i zorkiestrowany wiersz *Wjazd na wielorybie*, w którym persona tego utworu wjeżdża do Krakowa niczym wojenny zwycięzca, jako „apostoł cywilizacji” i „Bachus demokracji”. Jak widać, jego rozchwiana postawa i jego rozgrymaszona wyobraźnia, mająca zatrzeć w nim pamięć wojny i wizje ruin, a tym samym wskrzesić liryka, jakiemu trudno jest śpiewać w złym świecie, podążyła za nim z obozu dipisów w Höxter aż po mury Wawelu. Wywołany pijackim upojeniem zachwyty wolnością i pomieszanie myślowych azymutów znajdowały ujście w domenę twórczości, która wzbierała już podczas zachodnioeuropejskich peregrynacji poety z miasta do miasta, od zabytku do zabytku, między ludźmi i trzema kobietami, aż w Krakowie z impetem i całkowicie rozsadziła falochrony jego niemości. Co prawda już wcześniej Gałczyński napisał kilka wierszy, w tym dwa dla Natalii, przez trzy miesiące w stalagu Altengrabow zapełnił dwa zeszyty notatek, a w Höxter, Brukseli, Paryżu i na statku „Ragne” wzbogacił ten plon o jeszcze kilka utworów, wraz z najbardziej konfesyjnym, nieskrywanym za maskami wierszem *Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich*. Na pewno było ich więcej, ale rozdawał je między ludzi lub rozrzucał na wiatr jak pieniądze na jednej z ulic w Brukseli, krzycząc coś o srebrnikach i zaprzędaniu się. Tak go widział i podsłuchał Melchior Wańkowicz. To pisarskie wyzwalenie się na różne możliwe strony w pewnym stopniu egzorcyzmowało w nim demony, które wodziły go na pokuszenie.

W 1968 roku Ryszard Kapuściński ogłosił swoje reportaże spisane w trakcie i po podróży w rejon państw zakaukaskich zatytułowane *Kirgiz schodzi z konia*. Lektura książki przełamała w Natalii Gałczyńskiej próg, nad którym zaczęły przelewać się wspomnienia dotyczące gruzińskich korzeni rodziny, swojego dzieciństwa, młodości i dalej wstecz. Ponieważ matka odczuwała potrzebę dzielenia się nimi, Kira

Gałczyńska, pisząca wówczas dla „Trybuny Ludu” postanowiła je nagrywać. Część z nich posłużyła jej do odtworzenia losów ojca Natalii, gruzińskiego księcia i adiutanta Mikołaja II (być może ze względu na dziadka, to imię nadała swojemu synowi) oraz matki z pochodzenia Rosjanki, a druga ich część do spisania dziejów małżeństwa Srebrnej Natalii i Zielonego Konstantego. W moim przekonaniu jest to jeden z najmądrzejszych i najuczciwszych portretów męża i poety, jakie pojawiły się w polskim piśmiennictwie biograficzno-wspomnieniowym. Pruderia i krygowanie się zostały w nim zredukowane do minimum, a miłowanie i szacunek nie przeszkodziły żonie w wypunktowaniu skaz męża, nadszarpujących ich związek. Dlaczego swoje portretujące Gałczyńskiego wspomnienie Natalia zakończyła na wrześniu 1939 roku, kiedy poeta z domowego progu w Aninie ruszył na wojnę zaopatrzonej przez nią w znajdujący się obecnie w muzeum w Praniu modlitewnik? (Sam zaś zapakował do plecaka *Fausta* Goethego, ale wolumen ten przepadł). Po pierwsze dlatego, że początek 1946 roku na powrót postawił zaporę wspomnieniom Natalii, przynosząc bolesną wiedzę o wiarołomstwie męża. Zarazem Natalia miała poczucie obowiązku, w końcu żyła pod jednym dachem z dobrem narodowym i musiała to dobro chronić. Na tę blokadę mógł mieć wpływ całkowity zakaz mówienia w domu o wojnie, ustalony przez Gałczyńskiego. Postanowili z Natalią, że treść zapisywanych przez trzy miesiące notatek ukaże się dopiero za pół wieku pod tytułem *Notatnik z Altengrabow*, do czego doprowadziła już córka, w 2003 roku powierzając jego wydanie Czytelnikowi. Nie ma w nim nic takiego, co by nie mogło być ujawnione zaraz po wojnie, chyba że chodziło o przebudzenie w poecie uczuć religijnych, co zresztą we wstępie do książki usiłuje zatrzeć córka poety. Przekonuje, że ta „religijność”, to jedynie sztafaż wynikający z tego, że jedyną książką, jaką dysponował był już wspomniany modlitewnik. W każdym razie możemy przypuszczać, że nakaz milczenia dotyczył przede wszystkim przygód w kilka miesięcy po wojnie, a że wojna to

rzecz straszna, posłużyła ona niczym rozciągliwa kołdra do zakrycia kilku innych, tuż powojennych wydarzeń w życiu autora *Balu u Salomona*.

Dzisiaj nie żyje już nikt, kto poznał Gałczyńskiego, a choćby widział go z bliska lub daleka. Nikt. A na początku grudnia ubiegłego roku zmarła córka poety, ostatnie cielesne ogniwo łączące nas z Gałczyńskim, przekaziciel jego żywego obrazu, sylwetki w stanie czynnym.

Mieczysław Rakowski, mój sąsiad z Prania powiedział mi kiedyś:

„Chcesz mieć wyobrażenie o tym, jak poruszał się Gałczyński, jakie były jego gesty, zarys sylwetki, to patrz na Mikołaja”. Więc patrzyłem, gdy odwiedził mnie w Praniu na dwa lata przed końcem XX wieku. W tym czasie przyjechał także zobaczyć pośmiertny kwaterunek ojca syn – Konstanty Ildefons Gałczyński, po ojczymie – Pyka, potem Steve Parker, z kolei od 1990 roku znów z polskim paszportem, który kazał wydać na swoje pierwotne imiona i nazwisko. Podobnie jak ojciec ciemny, krępy, z dużymi dłońmi i stopami, promiennym wyrazem twarzy. Gdyby przekłuć mu ucho kolczykiem pasowałby do cygańskiego taboru. Imał się wielu zajęć, pracował w straży pożarnej, w więzieniu jako pracownik socjalny, przez cztery lata objeżdżał Australię w kamperze, zatrudniając się dorywczo tu i tam, posiadał farmę w stanie Victoria, organizował połowy dla turystów na własnej łodzi motorowej, był przedstawicielem rządu na północne terytorium Australii jako ekspert od resocjalizacji młodzieży, która wchodziła w konflikt z prawem. Grywał w różnych zespołach muzycznych na fortepianie, gitarze, banjo, saksofonie.

Podczas pobytu w Praniu nie opuszczał go wigor i uśmiech, pełny facet, w niczym nieokrojony, wyrywający się zawsze do przodu, kochający życie, łasy na urodę życia, jego kształty i pokarmy. Mikołaj z kolei mógł przypominać swojego wielkiego dziadka, lecz tylko od zewnątrz, brak było mu odwagi, wiary w siebie, tej wewnętrznej siły i odśrodkowego przekonania do tego, co robimy, a które w równym, o ile nie większym

stopniu lepiej nasze życie i konstruuja los. A syn, ten syn poety z Australii, choć urodzony 22 stycznia w Niemczech, był odbiciem najważniejszych atrybutów swojego ojca, jego otwartej przyłbicy w intensywnym stosunku do życiowych zagadnień, odwagi do życia, która wcale nie jest dyktowana brakiem wyobraźni, w końcu ciekawością rzeczy i zjawisk. Po to by móc czytać literę Gałczyńskiego, mając na karku pół wieku uczył się tego dziwnego języka, jakim dla Australijczyka jest polski. Nie szła mu jednak ta nauka skoro (cytuje za filmem o nim nakręconym w 2016 roku przez Małgorzatę Przytułę-Sawicką): „Szkoda, że nie czytam po polsku i nie rozumiem. Czasem z nim gadam w głowie (ojcem – przyp. mój) i pytam: co byś zrobił, jak coś się dzieje. To jest nawet śmieszne” lub „Teraz dużo jego książek jest po angielsku. Czytam je i widzę, że mam ten sam charakter jaki on miał” albo „Jestem szczęśliwy, że nie jestem durak. Mam jego geny i moje dzieci też mają, one są dobre w szkole, niektóre piszą. Dziękuję mu za to, ale go nie znam”.

Tymczasem jego polska siostra odziedziczyła cechy matki Natalii, zarówno jej powierzchowność, jak i skłonność do ujmowania życia w pewien schemat, a przecież życia, jak powiada Osip Mandelsztam z niczym nie da się porównać. Na Mikołaju, bezdziejnym synu Kiry Gałczyńskiej ze związku z aktorem Januszem Byrczyńskim kończy się polska linia rodu. 1 stycznia 2024 roku należące do rodziny prawa autorskie ulegną na mocy ustawy wygaśnięciu. Tym samym możliwość korzystania z literackiej spuścizny twórcy najmniejszego teatrzyku świata „Zielona Gęś” uzyskają wszyscy. Paradoksalnie linia australijska Gałczyńskiego żywotnie się rozwija, to drzewo wypuściło konary w postaci pięciorga dzieci z dwóch małżeństw Konstantego juniora, w tym dwóch synów oraz trojga dzieci adoptowanych, osiem gałęzi wnucząt i kilkanaście latorośli prawnucząt, w tym najmłodsza Harlow Jeane Gałczyńska, urodzona w styczniu 2023 roku.

Zielony kangur nie zna trwogi, moczymy nogi, moczymy nogi!

Wojciech Kass

*fot. Pranie, lata 50. Konstanty Ildefons Gałczyński z żoną Natalią w
leśniczówce Pranie. Reprodukacja: FoKa / Forum*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
